

Ina Lorelei

Dopóki nas śmierć nie rozłączy

Profesor Starmach z żoną Aliną wracali taksówką do domu. Była czerwcową, ciepła noc, dochodziła jedenasta. Wieczór spędzili w operze, bowiem opera była ulubioną rozrywką profesora.

- Jak oceniasz przedstawienie, kochanie?

- Jarku, wiesz, że nie przepadam za operą. Opery bywają nudne.

- Nudne? Wcale nie! Te niebiańskie głosy! To jest coś, co pozwala mi zapomnieć o szpitalu, chorobach i innych przyziemnych sprawach. Nie przepadasz za operą, ale spotkanie z naszym sławnym tenorem podobało ci się?

- Ty to zawsze potrafisz wymyślić jakąś cudowną niespodziankę, Jarku. On jest nadzwyczajny! Przystojny, sławny i ma boski głos!

- Alunia, bo będę zazdrosny! Wiesz, że wiele kobiet zazdrościłoby ci spotkania z taką sławą. On wszystkim odmawia.

- Jarku, jak mógłby TOBIE odmówić?

- Wiem, kochanie. Pan tam wjedzie na podjazd i podjedzie jak najbliżej pod dom. - Te słowa były skierowane do kierowcy taksówki.

- Oczywiście, proszę pana. - Odpowiedział posłusznie taksówkarz. - Przepraszam, ale jakiej specjalności pan jest lekarzem?

- Jestem profesorem angiologii, o ile pan w ogóle wie, co to znaczy. Ile się należy?

- 50 złotych. Wiem, co to jest. Moja matka od dwóch miesięcy czeka na badania w pańskiej klinice. Nie dałoby się przyspieszyć terminu, panie profesorze?

- Niech mi pan nie zawraca głowy po nocy. Dwa miesiące to żadne oczekiwanie. Inni czekają po pół roku. - Powiedział profesor podając kierowcy banknot.

- Na kiedy ma termin? Może coś da się zrobić. - Odezwała się siedząca obok żona profesora.

- Przestań, kochanie. To nie jest właściwy czas i miejsce. – Profesor okazał swoje niezadowolenie. – Wsiadamy, kochanie. Dobranoc panu.

- Kochanie, ja tylko próbuję pomóc. - Alina nie dawała za wygraną. - Na to zawsze jest czas i miejsce. Jak nazwisko pana matki?

Nie czekając na żonę, która wdała się w rozmowę z taksówkarzem, profesor wysiadł i energicznym krokiem skierował się w stronę furtki. Podjazd słabo oświetlały latarnie, zasłonięte nieco przez wysokie krzewy i drzewa okalające posesję. Dzielnica wyglądała na spokojną i zamożną. Wokół same okazałe domy, monitorowane, ulokowane na dużych działkach z ogrodami, osłaniające swą prywatność wysokimi ogrodzeniami lub żywopłotami.

Profesor skierował się w stronę furtki, usilnie przeszukując kieszenie. Najwyraźniej nie mógł czegoś znaleźć, prawdopodobnie pilota zdalnie otwierającego furtkę. Zatrzymał się, jeszcze raz obmacując kolejno kieszenie.

- Do jasnej, gdzie się podział ten pilot? Czyżbym zgubił? – Mamrotał pod nosem.

Wtem zza rogu wysokiego żywopłotu niespodziewanie wyłoniła się ciemna postać. Kaptur nasunięty na oczy, ręce w kieszeniach. Mężczyzna, czy raczej chłopak był niewysoki i szczupły. Sam fakt, że wyłonił się tak nagle z nicości, stwarzał niesamowite wrażenie.

Profesor znieruchomiał. Chłopak nieźle go przestraszył.

- Czego chcesz? Nie mam przy sobie pieniędzy.

- Pieniądzy? - Chłopak odpowiedział kpiąco; głos miał wysoki i nierówny. - Masz w głowie tylko pieniądze! Zapłacisz za swoje zbrodnie, a pieniądze ci nie pomogą.

- O co ci chodzi?

- Pieniądze nie zwrócą życia mojemu ojcu.

- Nie znam twojego ojca. Kimkolwiek był.

- Jasne, że nie znasz wszystkich swoich ofiar. Mógłbyś chociaż pamiętać tych, których wykończyłeś. Może było ich zbyt wielu?

- Nie tykaj mnie, chamie! Jestem profesorem i szanowanym lekarzem. A ty kto?

- Dla ciebie jestem nikim. Synem człowieka, którego uśmierciłeś twoimi metodami.

- Zaraz zadzwonię po policję. Odechce ci się napadać spokojnych obywateli po nocy.

- Jasne, pan doktor udaje, że nic się nie stało. Pan profesor ma na wezwanie policję, sądy i izbę lekarską. Kilkadzieściat ludzi nie żyje, ale co tam. Śledztwo poszło się bujać. Pan doktor jest niewinny. Wszyscy zapomnieli, ale ja nie zapomniałem. Ja cię dopadnę. Nie dziś, to jutro. Dziś masz szczęście, bo nie jesteś sam.

Te ostatnie słowa odnosiły się do żony profesora, która w międzyczasie skończyła rozmowę z kierowcą i wysiadła z taksówki. Idąc w kierunku furtki, nagle pojawiła się w zasięgu wzroku intruza. Najwidoczniej chłopak zbliżył się do profesora, myśląc, że ten jest sam. Czekał, aż taksówka odjedzie, ale kiedy z taksówki wysiadła kobieta, uznał, że lepiej się wycofać. Naciągnął kaptur głębiej na oczy i zrobił krok w tył, odwracając się od profesora. Ale ten nabrał nagle odwagi.

- Ja ci pokażę napadać ludzi na ulicy. Jesteś nienormalny. Nie zbliżaj się do mnie, bo pożałujesz! - Powiedział profesor wysokim, piskliwym głosem, co świadczyło o najwyższym zdenerwowaniu i strachu.

Mówiąc to, rzucił się w stronę chłopaka, jakby chciał go złapać. Chłopak uprzedził jego ruch, skoczył w krzaki i zniknął im z oczu. Profesor potknął się, stracił równowagę i upadł.

- Widziałaś? Popchnął mnie i przewrócił! – Powiedział do żony, która w międzyczasie dotarła do miejsca, gdzie upadł.

- Kochanie, on cię nawet nie dotknął. Kto to był?

- Nie widziałaś, że mnie popchnął i przewrócił?

- Kochanie, wstań. Już nie ma nikogo. – Mówiąc to Alina pomagała mężowi wstać. – W domu zobaczymy, czy wszystko w porządku.

- Nic nie jest w porządku. Chyba mam stłuczone kolano. I zwichnięty nadgarstek. - Wstając z ziemi oglądał się i obmacywał. - Co za czasy! Przestępcy napadają ludzi na ulicy, a własna żona mówi, że nic nie było. Dlaczego władze nie potrafią sobie z tym poradzić?!

- Jarku – kobieta powiedziała karcąco – przestań już! Przecież on cię nawet nie dotknął! Wszystko widziałam. Chciał uciec, a ty próbowałeś się na niego rzucić. Na całe szczęście nic się nie stało. Kto to był? Znasz go?

- Nigdy w życiu go nie widziałem.

- Słyszałam tylko kilka zdań, ale z tego co usłyszałam wynika, że on cię zna. Dlaczego powiedział, że dziś masz szczęście?

- Jakiś wariat. Nie przejmuj się, kochanie. Chodźmy do domu. O! Mam go.

Rozmawiając z żoną, profesor wreszcie namacał poszukiwanego pilota w kieszeni. Nastąpiło ciche kliknięcie i furtka uchyliła się.

Żonę profesora również zdenerwowało zajście, którego była świadkiem. Słyszała część rozmowy, wystarczająco dużo, by zrozumieć, że napotkany chłopak nie znalazł się przypadkowo pod ich domem i nie miał dobrych zamiarów. Było oczywiste, że gdyby profesor był sam, wydarzenia mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Tylko jak? Co tamten chciał zrobić? Przez cały wieczór czekała na odpowiedni moment, by jeszcze raz wypytać męża.

- Kochanie, wyjaśnisz mi wreszcie, o czym mówił ten chłopak?

- Alu, mówiłem ci, nie wiem. Coś mu się pomyliło.

- Powiedział, że zabiłeś jego ojca. O co w tym chodzi?

- Nikogo nie zabiłem. Jego ojciec był moim pacjentem. Przecież nie mogę pamiętać wszystkich pacjentów. Czy ty zdajesz sobie sprawę, ilu pacjentów przewija się przez mój szpital?

- Zgłosisz to na policję?

- Mam zamiar. Ale boję się, że to nic nie da. Oni są tak nieudolni. Musiałbym im przyprowadzić przestępcę w kajdankach.

- Przecież on ci groził. Powiedział, że gdyby mnie tam nie było, to... Co on miał zamiar zrobić?

- Skąd mam wiedzieć? Oczywiście, że tego nie zostawię. Mam pewien pomysł. Skoro jego ojciec był naszym pacjentem, sprawdzimy szpitalne rejestry z ostatnich lat. Sprawdzisz wszystkich pacjentów, którzy zmarli w wyniku powikłań. I ich rodziny, głównie synów.

- Nie uważasz, że to szukanie igły w stogu siana? I zajmie mnóstwo czasu, ale... oczywiście, Jarku. Jeśli uważasz, że to konieczne, zrobię to dla ciebie. Znajdziemy go.